Było powszechnie wiadome, że na salonach wielkiej Warszawy, rozmawiało się o wszystkim — od najnowszych trendów w modzie po odkrycia naukowe wspaniałego XIX wieku. Dobrze było być obeznanym, w końcu w tych czasach nie wypadało być nieświadomym. Dlatego też każdy szanujący się arystokrata wiedział, że na spotkania z innymi należy udawać się regularnie, choćby miało się jedynie słuchać.

Do tej grupy należała panna Izabela, córka Tomasza Łęckiego. Była piękną kobietą, o porcelanowej cerze, bujnych jasnych włosach i niebieskich oczach. Jej dajmon miał formę dostojnego, białego kota. Chociaż powoli wkraczała już w wiek odpowiedni do zamążpójścia, Izabela uparcie odmawiała związania się z jakimkolwiek mężczyzną. Po co? Miała przecież jeszcze tyle czasu.

Mimo to Izabela była zainteresowana wszelkimi najnowszymi plotkami o młodych szlachcicach szukających żony, więc na każdym spotkaniu na salonach Warszawy, głaszcząc swojego dajmona, stała razem z innymi pannami w jej wieku, słuchała, co mają do powiedzenia. A do powiedzenia młode damy miały wiele! To o jednym, że chciałby mieć kolejnego konia, to o drugim, że podobno pierwszą żonę zamordował, a to o trzecim, że ożenił się z wdową tylko po to, by otrzymać sklep po zmarłym ... Ten ostatni temat wyjątkowo zainteresował kobiety.

— Stanisław Wokulski w ogóle nie powinien mieć wstępu na takie spotkania! — stwierdziła jedna z rozmówczyń Izabeli, Róża, której dajmon, pod postacią kolibra, nerwowo podrygiwał w powietrzu — On do arystokraty nawet nie jest podobny!

— Bez przesady — odparła druga — przecież nikomu nie szkodzi. Jest wręcz zabawny!

Izabela poczuła nieodpartą chęć przyjrzenia się Wokulskiemu z bliska. Odnalazła go wzrokiem i przeprosiła towarzyszki rozmowy. Gdy się zbliżała, stawiając eleganckie kroki, mężczyzna podniósł głowę i zerknął na nią. Pewne zaciekawienie przebiegło przez jego twarz. Jego dajmon, stalowoszary wilczur o błękitnych ślepiach mruknął coś, czego Izabela nie była w stanie usłyszeć.

— Panie Wokulski — odezwała się — wiele o panu słyszałam.

Wokulski roześmiał się głośno.

— Tego jestem pewien. Pani Łęcka, prawda?

— Panna.

Izabela przyjrzała się rozmówcy oceniająco. Wokulskiemu nie można było odmówić urody, lecz nie wpasowywał się w jej gusta. Lekko posiwiałe włosy opadały mu luźno na czoło, a jego intensywne spojrzenie wwiercało się w rozmówczynię, sprawiając, że czuła się

niekomfortowo. Uwagę Łęckiej przyciągnęły jego dłonie, oparte na głowie dajmona — miały nietypowy czerwony odcień — a mężczyzna spostrzegł jej zainteresowanie i wyjaśnił:

— Odmroziłem je na Syberii.

— Był pan na Syberii? — zapytała uprzejmie Izabela.

Wokulski skinął głową, a potem ją przechylił, jakby oceniająco i ściszył głos:

— Być może słyszała pani… Cóż… Czy słyszała pani o Pyle?

— Pyle? Nie, nigdy.

— Pył, panno Izabelo, jest wszędzie wokół nas.

Izabela podniosła lekko brew.

— Nie sugeruje pan niczego sprzecznego z naukami Magisterium, czyż nie, panie Wokulski? Stanisław Wokulski wiedział, że stąpa po cienkiej linii. Nie powinien mówić obcej kobiecie o Pyle. Jednak coś w Izabeli Łęckiej sprawiało, że racjonalność ulatywała, zastąpiona desperacką potrzebą zaimponowania jej. Wiedział, że nie powinien, a jednak przemówił:

— Gdybym sugerował, co by pani zrobiła…?

Łęcka zachichotała, a jej dajmon zmrużył ślepia. Wokulski poczuł, że jego własny towarzysz niespokojnie poruszył nosem.

— Ależ panie Wokulski, raczy pan żartować! Oboje wiemy, że Magisterium nie wybacza herezji.

✧

Gdy widzieli się następnym razem, to Wokulski podszedł do Izabeli. Byli w kościele, na mszy organizowanej przez Magisterium. Zaproszono wszystkich liczących się ludzi w Warszawie, Izabela widziała więc wiele znajomych twarzy. Prowadziła właśnie uprzejmą rozmowę z Kazimierą Wąsowską, gdy zbliżył się do nich Stanisław Wokulski. Czerwone palce miał wplecione między gęste futro wilczura, dajmona, kroczącego dumnie u jego boku. Lisica Wąsowskiej zakręciła puchatym ogonem na jego widok, co Izabela zarejestrowała z lekką dozą rozbawienia.

— Miłe panie. — Mężczyzna skłonił się lekko obu kobietom.

— Panie Wokulski. — odpowiedziały razem Izabela i Kazimiera, po czym spojrzały na siebie z zaskoczeniem.

Dajmon Izabeli wysunął pazurki i się przeciągnął.

— Pozwolicie, że się oddalę. — odezwała się Łęcka, dygnęła i odeszła.

Z ulgą opuszczała Wąsowską. Gdyby jej zapytać, nie powiedziałaby, że lubi Kazimierę. Kobieta irytowała ją swoim przeświadczeniem o wyższości nad Izabelą.

Prawdopodobnie wydawało jej się, że dobrze je ukrywała, lecz Łęcka wcale nie była głupia — umiała szybko rozpoznać, co sądzą o niej inni.

Cóż.

Zazwyczaj umiała. Usiadła w ławie, stojącej tuż przy ołtarzu przedstawiającym Absolut, pogłaskała swojego kociego dajmona i przymknęła powieki.

Stanisław Wokulski.

Był dziwnym człowiekiem, to mogła stwierdzić od razu. Nie do końca potrafiła określić, czego chciał. Z jednej strony wydawał się nią zainteresowany, jak każdy mężczyzna z resztą, jednak z drugiej… Z drugiej strony kwestionował Magisterium, łamał zasady, mówił o rzeczach, o których nie można było mówić.

— Panno Izo. — Z zamyślenia wyrwał ją głos.

Otworzyła oczy. To Wokulski przysiadł się do niej na ławie i siedział wpatrzony w ołtarz. Skrzywił się.

— Co pani sądzi o tym? — Machnął ręką w stronę bogato ozdobionego ołtarza.

— O Absolucie? — upewniła się — Chyba nic nie sądzę. To Absolut, na miłość, cóż, boską.

Jej rozmówca prychnął.

— Osobiście uważam, że Magisterium roztacza ten… kult wokół Absolutu dla własnej korzyści. Moim zdaniem, Absolut jest istotą niesłusznie idealizowaną. Czy w którymś ze światów jest władcą? Oczywiście. Ale dlaczego musi nim być również w naszym?

Izabela zmarszczyła brwi.

— Co ma pan na myśli, mówiąc o którymś ze światów? Twierdzi pan, że jest ich więcej?

— Powiedziałem za dużo. — Wilczur poruszył się niespokojnie. — Dotrzyma pani tajemnicy, panno Izabelo?

— Ależ panie Wokulski, chętnie usłyszę więcej.

Mężczyzna ewidentnie się wahał, więc Izabela postanowiła skorzystać ze sprawdzonej metody — przymknęła lekko powieki i spojrzała na rozmówce trzepocąc rzęsami. Uległ.

— Skoro pani nalega. Proszę sobie wyobrazić… Nić. Ta nić to nasza rzeczywistość. Z naszej perspektywy jesteśmy tylko my. Jednakże, gdyby spojrzeć z odrobinę innej perspektywy, ujrzałaby pani obraz. Gobelin. Miliony, miliardy nici zbiegające się w różnych miejscach, skręcających w innych. Są na raz podobne i różne. To piękne, na swój sposób.

Kobieta milczała, ale kot na jej kolanach machał nerwowo ogonem. Siedzieli obok siebie, Łęcka i Wokulski, wpatrując się w ciszy w złoty ołtarz.

— Dobrze więc. — Milczenie przerwał w końcu Wokulski. — Miło się z panią rozmawiało, panno Izabelo. Obawiam się, że przez pewien czas się nie zobaczymy. Wyjeżdżam.

— Wyjeżdża pan? Dokąd? Na ile? — zapytała Izabela.

— Do Anglii, do Oxfordu. Będę prowadził badania z moim przyjacielem, Lordem Asrielem Belacqua. Wracam dopiero za dwa miesiące.

— Farewell, then. Farewell, Mr. Wokulski. — Uśmiechnęła się Łęcka, zgrabnie przechodząc na język angielski.

Mężczyzna odpowiedział na uśmiech, wstał z ławy, jakby kpiąco ukłonił się i odszedł z wilczurem u boku.

Izabela westchnęła, a potem jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Kazimiery Wąsowskiej, która obserwowała ją z niszy niedaleko ław.

Kazimiera uśmiechnęła się słodko do Łęckiej.

◇

Izabela Łęcka stała samotnie na peronie Dworca Wiedeńskiego. Tak naprawdę nie powinno jej tam być. Czekała na pociąg, z którego wagonów miał wkrótce wysiąść Stanisław Wokulski,

który przed dwoma miesiącami wyjechał do Anglii. Izabela nie do końca potrafiła wyjaśnić, co takiego ciągnęło ją do niego. Ulegał jej tak, jak większość mężczyzn. Nie był w jej oczach specjalnie atrakcyjny, a jednak… Przyciągał.

Łęcka wyrwała się z otępienia, gdy jej dajmon szturchnął ją łebkiem. Na peron wchodziła właśnie grupa ubranych na czarno strażników z symbolami Magisterium na ramionach. Izabela z jakiegoś niewyjaśnionego powodu poczuła niepokój.

Stała jeszcze chwilę, rozglądając się niespokojnie. Obserwowała uważnie strażników, gdy

na peron wjechał pociąg. Uśmiechnęła się więc i szukała Wokulskiego w tłumie opuszczającym maszynę.

Był tam. Barczysty, w garniturze, z posiwiałymi włosami i brodą. Ujrzał Izabelę w tej samej chwili, gdy ona ujrzała jego. Jego twarz rozjaśnił uśmiech i w pośpiechu ruszył w jej stronę. Już prawie byli obok siebie, gdy Wokulskiego otoczyła grupa z Magisterium. Nie zważając na protesty mężczyzny, obezwładnili go, zakuli w kajdanki i mocno trzymając za ramiona, zaczęli prowadzić go do wyjścia z peronu.

Łęcka stała jak sparaliżowana. Co tym razem takiego zrobił mężczyzna ? Co takiego odkrył w Anglii? Czy ktoś go wydał? Obserwowała go szeroko otwartymi oczami.

Gdy strażnicy już prawie doprowadzili Wokulskiego do wyjścia, ten wykręcił się im i odnalazł wzrokiem Izabelę. Kobieta nie mogła go słyszeć w hałasie peronu, lecz doskonale wiedziała, co takiego powiedział. Powtórzył jej słowa z ostatniego spotkania. Słowa, które wypowiedziała jako żartobliwe pożegnanie, stały się prawdziwym pożegnaniem:

— Farewell, miss Iza. Farewell.